Rok 1939 16 kwietnia Nr. 16

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Już powraca...

Hej, powraca już z za morza
złota zorza — hej!
Już jaskółka zwinna, hoża
za muszkami mknie w przestworza,
tylko gonić chciej
[oczyma,
tylko gonić chciej!...

A i szary skowroneczek
nad tą runią zbóż
słodką nutą swych piosneczek
oraczowi ten dzwoneczek
uprzyjemnia tuż
[na roli,
na tej roli tuż! ..

O, jak miło, jak słonecznie
wtedy duszy twej!
Chciałbyś wiosnę tę miec wiecznie —
to też ciesz się! ciesz serdecznie
i z nią razem śmiej
[w tym słońcu
i z nią wraz się śmiej!...

E. K.

Odważne Murzyniątka

Pisał niedawno „Dzwoneczek“ o wężu, który — zależnie od koloru skóry — nazywa się czarną lub zieloną mał... (omal nie napisało mi się małpą), gdy ma być przecież mambą. Gotowaby się jeszcze z powodu tej pomyłki obrazić jakaś prawdziwa małpa w warszawskim zoo, czy w afrykańskiej puszczy, że się ją śmie przyrównywać do wstrętnego gada, gdy ona przecież uważa się za coś lepszego między zwierzętami. Widocznie podoba się jej mocno jej własna fizjognomia...

Otóż o mambie wiedzą dobrze pracujący w Afryce misjonarze, spotyka się tam bowiem bardzo często „latającego diabła“, jak tego węża przezywają powszechnie Murzyni. Kręci się on w pobliżu ubogich chat czarnych mieszkańców, wypatrując sobie ofiary.

Jeden z księży Oblatów N. M. P. opowiada, jak to raz przybiegły do niego strwożone dzieci murzyńskie, wołając, że w pobliżu pola kukurydzianego widziały mambę, ale spłoszona wślizgnęła się pod pękniętą skałę. Długo stał misjonarz na czatach, trzymając strzelbę gotową do strzału, gad jednak nie chciał się pokazać.

Innym razem szedł kapłan do chorego w towarzystwie swego nieodstępnego towarzysza, wspaniałego psa, imieniem Karo. W pewnej chwili zaczął on psim zwyczajem bobrować wśród gęstych krzaków paproci, gdy nagle stanął, zachwiał się i upadł na ziemię, skomląc żałośnie. Chociaż gada nigdzie dokoła spostrzec nie było można, misjonarz domyślił się, że to wąż musiał ukąsić biednego psa. Istotnie, na nosie widoczna była ranka. Nie pomogły już żadne zabiegi. Poczciwy Karo sztywniał coraz bardziej i przyniesiony do domu, skończył życie.

Raz znowu mały 11-letni Murzynek, pasąc trzodę ojca, ujrzał nagle pod krzakiem czającego się węża. Odważny chłopiec pobiegł do chaty i przyniósł stamtąd cztery sękate kije, zakończone zgrubieniem, jak gdyby kulą. Gdy wąż zaczął pełzać ku niemu, dzieciak rzucił weń jednym kijem, następnie drugim, a celować musiał nie źle, bowiem wąż chwilowo znieruchomiał. Ko-

rzystając z tego, chłopak zbliżył się, chcąc potężnym uderzeniem w głowę uśmiercić wreszcie gada. Nagle mamba pręży się, wyszczerza zęby i syczy z wściekłością, gotowa do walki.

Dziecku przypomina się w tej chwili to, o czym słyszało od starszych, że węże zabija się, uderzając je w grzbiet. Ostatnim więc kijem, jaki mu pozostał, zaczyna walić gada z tyłu, unikając z największą uwagą zębów czyhających na jego nogę lub rękę. Udaje mu się wreszcie złamać mambie grzbiet.

Upojony zwycięstwem, owija 2-metrowe cielsko jadowitego potwora dokoła kija i wlecze je do chaty. Przywołani radosnym krzykiem rodzice wcale jednak nie zasypali syna pochwałami za męstwo i odwagę, lecz przeciwnie, porządnie skrzyczeli, że się tak lekkomyślnie narażał na niebezpieczeństwo, a nawet i śmierć. Za karę pewnie mu odebrali cenną skórę wężową, która byłaby stanowiła początek jego myśliwskich zdobyczy.

Kto wie, może wyrośnie z niego sławny pogromca wężów, w szczególności czarnych i zielonych mamb, tych plag okropnych biednej ludności murzyńskiej w Afryce.

Jak wróble siały pszenicę

Gadka wiosenna.

Marek usnąć już nie może, choć dopiero świt, taki hałas, gwar na dworze, taki wróbli krzyk. Świat kąpie się w słońca złocie, w pierwszych blaskach zórz, a wróbliska złe na płocie dawno wrzeszczą już:

Ja chcę jeść, on chce też — wkoło śmieć w polu perz.

I pszenicy ani ćwierć, przyjdzie głód, będzie śmierć.

Przepadło Markowe granie, siedzą wróble na parkanie, nucą, krzyczą swoją śpiewkę, na frasunek, na rozgrzewkę. Cztery krzyczą na przemiany, piąty głośniej jak pijany:

Ty chcesz jeść, ja chcę żreć, w polu kurz, perz i śmieć,

po robaczkach ani znaku, nie ma wiśni, ani maku i pszenicy, ani ćwierć, — puste pola i ogrody,

przyjdą głody — przyjdzie śmierć.

Ćwierkają wróble na płocie, w bardzo wielkim są kłopocie, niwa cała już zorana, pszenica dawno wysiana. Zeszła właśnie już zielenią, promyki słońca ją mienią runią cudną — wróblom trawą żyć jest trudno. Przylecieły tu na radę, jak postąpić dziś z obiadem.

Słucha Marek tych pogwarek, chciałby wróblom przyjść z pomocą, lecz sam nie wie, jak i poco? Aż tu nagle myśl nielada — do główki Markowi wpada.

Tam w stodole na zapolu jest pszenicy kupka mała: pracowita rączka Marka, zimę całą tam zgarniała, po dwa ziarnka. Za stodołą leży niwa, nad nią wierzba głową kiwa, Marek słyszał, jak raz zrana, łzami deszczu pokrapiana, szemrała tak do roli:

Cierpi dusza, serce boli. Marnuje się niwa czarna, nikt nie sieje do niej ziarna.

Do okienka skoczył Marek, i przerwał wróbelkom gwarę.

Hej wróbelki, wróbelęta, kto z was dobrze zapamięta moje rady, będzie codzień jadł obiady.

Za stodołą puste pole, a w stodole jest pszenica, posiejemy ją dziś w pole, dziś o wiośnie, zaczekamy, aż urośnie w wspólnej pracy i dorobku — w lecie zbierzemy po snopku.

Usłyszały wróble radę i ćwierkają wszystkie rade:

Jest pszenica, ćwierć, ćwierć, ćwierć, przeszły głody, przeszła śmierć.

Wiedź nas Marku, wiedź nas szparko, polecimy jedną parką, parką drugą w parek więcej, poleci nas sto tysięcy.

Posiejemy wszystkie ziarnka, równy podział, równa miarka. Prowadź Marku, prowadź prędzej, damy tobie wór pieniędzy tureckich, albo greckich.

Nie chcę złota, mili ptacy, chcę

nauczyć wróbli pracy. Kto posłucha mojej rady, będzie w zimie jadł obiady.

I wesoły zawiódł wróble do stodoły, i tam równą mierzył miarką każde ziarnko.

Jeden wróbel zmrużył ślepka, drugi rwie mu piórka z łebka, wielka radość i ochota. Będzie praca i robota! Ale rychło wszystkie razem gwarzą cicho z złym wyrazem:

Trudno czekać do jesieni, kiedy dziś nic się nie zmieni.

Marek otwarł gumna wrota, nie wiedząc o tych naradach.

Oj rzuciła się hołota, całą chmarą — ziarnka zjada, prędko skacze, dzióbkiem młóci, próżno Marek błaga, płacze. Już on wróbli nie wyrzuci. Zjadły wszystko do ostatka, pozostała ziemia gładka.

Potem głodne trzy miesiące skakały sobie po łące i zjadały żabie skrzeki.

Stanisława Nowakówna.



Na Śląsku pewien grajek przyuczył kanarki do popisywania się z nim publicznie: cały czas, gdy on gra na skrzypcach, kanarki śpiewając skaczą po jego smyczku, po ramionach i głowie.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.

Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Jeszcze tedy ciemność wieczorna, acz pod coraz chmurniejszym niebem wczesna, nie zamazała czarną smugą ich nie dużego widnokręgu na majdanie, gdy ciepłe posłania pod szałasami były gotowe na nocleg dla Lwów.

Na placyku przed pachnącymi żywicą i świeżą zielenią namiotami, stanął zastęp druhów dokoła swej chorągwi, zebrany dla wspólnego wzniesienia hymnu wieczornego. Bolek wygrał na rożku religijne preludium Szopena, a gromadka harcerzy wśród ciszy uroczystej odśpiewała z przejęciem:

Mocny Panie, co w tej chwili
Dnia ostatnie gasisz blaski, —
My Twym słońcem dzień przeżyli,
Jak wszechświata gwiezdne piaski.
Przed potęgą Twą i chwałą

Pochylamy kornie czoła:
Pod Niebieską Twą powałą
Daj nam spocząć — aż powoła,
Na trud dzienny słońcem w zorzy
Z nocnej budząc nas martwoty,
Ten, co światłem cuda tworzy —
Boga - Ducha błysk Twój złoty.

Poczem wspólnie chórem odmówiono pacierze wieczorne.

W parę minut później już układano się do snu na świeżutkich wonnych materacach, nakrywając się czym kto mógł najcieplej, bo zimno stawało się z każdą chwilą dotkliwsze.

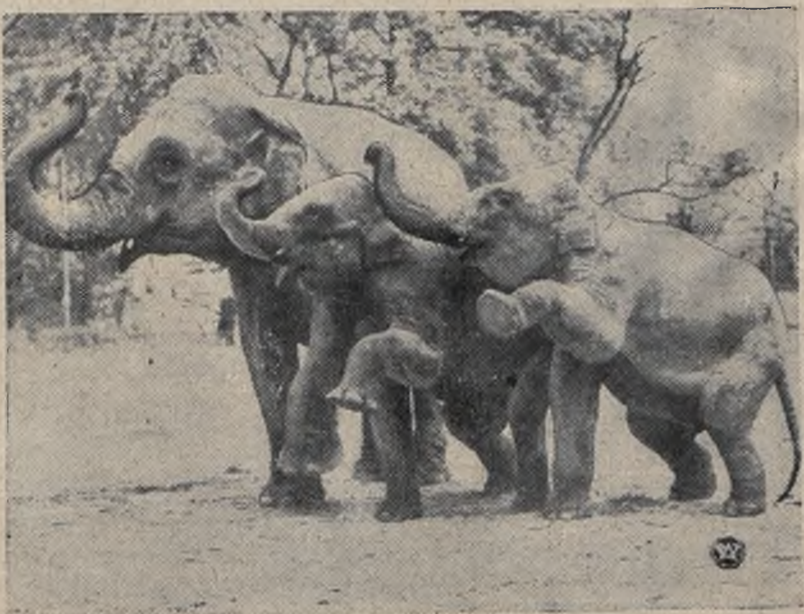
„Dom wielkoludów“ zajmowali trzej starsi w zastępie, w tej chwili jednak między zasypiającym od razu Leszkiem a zawijającym się w koc Stachem stało tu próżne łóżko polowe, bo jego właściciel Janek miał prawo korzystać jedynie z „loży szwajcara“, jako czatownik do drugiej nad ranem.

Sąsiedni szałas ochrzcił Sokolik „hangarem“, tu bowiem między Bolkiem a Mieczkiem spał Tadzik Mały, a ponieważ w jego myślach tyle było ciągle wielkich planów z dziedziny lotnictwa, że — zdaniem Stacha żartownisia — w głowie takiego awiatora musiał się mieścić cały hangar, z którego wylatują aeroplany.

W ostatnim szałasie pod lasem, czyli w „willi pod peleryną“, nie spał nikt, a za to nocowały tam wszelkie narzędzia rzemieślnicze i rupiecie niezbędne, których jeszcze nie zdążono rozmieścić w obozie, gdzie panować miała zasada: każda rzecz na swoim miejscu i stałe miejsce dla każdej rzeczy.

Zawisza mówiąc dobranoc Jankowi, pożegnał go słowami, w których jakgdyby drgała niewymówiona prośba o przebaczenie, że kiedy cały zastęp z nóg leci z przepracowania i z niewyspania, jego dowódca nie bierze na siebie trudnego obowiązku czatów nocnych, lecz zdaje go na barki przodownika, nie mniej od niego śpiącego i zdrożonego.

— Czuwaj za nas, bracie — prosił — a w razie czego alarmuj... Okryj się dobrze, Janku, żebyś nie zziąbł, a rozpalże sobie zaraz ognisko. Wytrzymasz? Czuwaj... (C. d. n.).



Te słonie widocznie zamierzają służyć w wojsku, bo już teraz uczą się maszerować. Pewnie dla lepszego utrzymania kroku szepczą sobie po cichu: Lewa! lewa! lewa!